

Relacje ~~na~~grane i spisane przez Joannę Januszczak w Kutnie w dniu 19 grudnia 1999r.

Nazywam się Leonard Szuski urodziłem się 4 Grudnia 1921 r. w Mokowie powiat Lipno, na Pomorzu, pogranicze Mazowsza i Pomorza. Powszechną Szkołę skończyłem w Płocku-Radziłóww 1935r. Potem już do rodziców nie wróciłem tylko zamieszkałem u mojej siostry, od której do szkoły chodziłem. I zamieszkałem w Płocku. Zacząłem pracę w zakładzie fryzjerskim u Stanisława Bieźnickiego, ale ponieważ nie stać mnie nauki 300 zł., których żądał, zatrudniłem się jako chłopak do posług. Ponieważ to był zakład ekskluzywny jak na Płock, Tam chesały się panie z wyższych sfer, panowie również, wszyscy oficerowie z IV pułku strzelców konnych, okoliczni ziemianie i tam nabyłem trochę ogłady. I otrzymywałem około 5zł. tygodniowo zarobku. Nienawidziłem tej pracy z tego powodu, że uwłaczała ona mojej godności. Gdy miałem 16 lat odszedłem z tej pracy i zacząłem pracować u pana Przytulskiego w ogródku, a później na interwencyjnych robotach, to znaczy po całym nowieście płockim kopać rowy przy szosach ze szpadłem do czasu wojny. W 1939r. nie miałem żadnej pracy i starałem się jakoś ruszyć na przykład u pana Przytulskiego że Przytulskiego w szkółce świerkowej wyrąbywałem gałązki i robiłem wianki, które sprzedawaliśmy na rynku. I różne rzeczy: srowadzaliśmy tytuon z okolic Kępnego i w 1940r. w lutym zostałem wysłany - dostałem zawiadomienie z biura pracy ażeby się zgłosić na wyjazd do Niemiec, ożywiście pod karą. W lutym 1940r. zostałem wywieziony na teren dawnej Kłajpedy. Za czasów niemieckich Memel. do Tyłży po niemiecku Tilsit. W Tyłży zrobiono nam kąnię, potem dezynfekcję i zostałem przydzielona do grupy, którą przewieziono kolejną do Laukschargiel, gmina Laukschargel. Gmina tak samo się nazywa po litewsku, bo to był teren litewski. Tam przydzielono mnie do wsi Kalenai po litewsku do rolnika Christoph Gerul. Był to duży rolnik, mieszkający w bardzo starym drewnianym domu, gdzie w środku była olbrzymia kuchnia z podłogą glinianą, na jenej stronie była ~~dwana~~ pokoje, gdzie mieszkał rolnik ów Gierul z żoną i 12-letnim synkiem. Po drugiej stronie tej kuchni natomiast były 2 pokoje, w których mieszkał ich robotnik Jonas Litwin. Jak miał na nazwisko nie pamiętam, no i ja w jednym pokoju były dwa łóżka, a drugi był wolny dla dziewczyn. Ze mną została przydzielona również dziewczyna z Płocka. Nazwiskiem Wiśniewska. ~~Nie wiem~~ ^{Gienia} jak jej było na imię. Ona pomagała pomagała najwięcej w kuchni, również przy udoju krów, onieważ było 20 krów. Początkowo mleko odwoził Litwin, potem razem odwoziłem potem ja zacząłem odwozić mleko. Odwoziłem również synka małego Paula do szkoły, ponieważ uczęszczał do niemieckiej szkoły i często mi ubliżał i wyrominał, że Polacy gdiś tam w Brombergu Polacy wymordowali 60.000 Niemców.

2

Ja o tym nie słyszałem i nawet nie zdawałem sobie sprawy gdzie to miasto Bromberg leży. Potem jednak przestał mi dokuczać i raczej się zaprzyjaźnił ze mną. Uważam, że był źle nastawiony przez szkołę. Pracowaliśmy przy lesie, przy wyrębie gałęzi, których ta gospodyni bardzo oszczędnie używała do palenia. Jeszcze potem do prac polowych dokooptowano jeszcze jednego jeńca wojennego Belga. Nie pamiętam jego imienia ani nazwiska ale był to człowiek lat około 30. Ten Belg zaczął mnie kilku słów francuskich uczyć, ponieważ on znał język flamandzki dobrze porozumiewał się z Niemcem, który był właścicielem. Litwin i ja najwięcej pracowaliśmy przy pracach polowych kiedy nadeszła wiosna, to znaczy rozsiewaliśmy nawozy sztuczne, oraliśmy pola i wywoziliśmy obornik, bo mieliśmy 20 krów i 8 koni, z których tylko 4 pracowały, a reszta była do karmienia i czyszczenia. Posadziliśmy kartofle, posieliśmy owies. Potem ja rozredlałem te kartofle. Pewnej niedzieli ja z kilkoma kolegami, to znaczy Jankiem Królikowskim, Edwardem Kęsickim, Jakubczykiem Janem nazywanym Kubą udaliśmy się nad rzekę. Przeszliśmy przez rzekę i znaleźliśmy się na terytorium Litwy. Nie zatrzymywani przez nikogo doszliśmy do jakiegoś miasteczka, ale przedtem jeszcze bardzo przemogliśmy, bo była strasna ulewa. Wieczorem znaleźliśmy jakąś stodołę. Weszliśmy za nią. Tam rozebraliśmy się do naga, weszliśmy w słomę i tak przesiedzieliśmy całą noc. Rano ubraliśmy się i niezauważeni poszliśmy do miasta. Miasto nazywało się Jurbarkas. Tak Jurbarkas. Poszliśmy na rynek Tam chodził tylko jeden policjant ubrany tak dziwnie, granatowe ubranie z czerwonymi wypustkami. Ludzie na niego mówili, że to jest kałakutas to znaczy kogut. Miał taki order olbrzymi na piersiach. Przyjrzałem mu się, a to był dwugłowy ^{carski} czarny orzeł wycięty ze srebrnej pięciorubłówki. Ale nie zwrócił na nas uwagi. Natomiast myśmy zwrócili uwagę na pewnego Żyda. Chcieliśmy u niego wymienić marki na lity. Ten Żyd powiedział, że chętnie, ale kazał nam się chwilę pokręcić po rynku, a on pójdzie coś kupić, a potem zaprowadzi nas do swego mieszkania. Weszliśmy do jego mieszkania. Tam dał nam herbaty i żelazko do wyprasowania ubrań i wymienił nam marki. Ja miałem 40 marek, Inni mieli mniej pieniędzy, bo palił papierosy. On nastawił żelazko, a my wyprasowaliśmy sobie ubrania, koszule, spodnie, bo bądź co bądź były jeszcze bardzo wilgotne. Podziękowaliśmy mu i udaliśmy się w dalszą drogę. Już nie pamiętam jakim szlakiem szliśmy, ale dotarliśmy do Kowna. Szliśmy taką dużą ulicą, ale miasto nie było duże. Chyba Leikses Alee czy jakoś tak. Zauważyliśmy szyldzik "Dom studentów polskich" Weszliśmy tam. Było tam kilku chłopców, lat około 20. Chcieliśmy zasięgnąć jakiejś porady. My sami nie wiemy, co z sobą robić - powiedzieli - bo Rosjanie nadchodzą. Oni dali nam adres Ambasady Angielskiej. W Ambasadzie Angielskiej przyjęto nas bardzo grzecznie. Na wszystkich czterech dano nam banknot 100 litowy i z przykrością powiedzieli, że późno myśmy się zgłosili. Kilka tygodni wcześniej mogliby nas okrętem odesłać do Anglii.

Teraz już Rosjanie zajęli port. Kontrola jest bardzo ścisła i nie ma mowy żeby dostać się na okręt. Dobrzeby było dostać się na Łotwę, bo tam jest mniej Polaków, ale za to większe gospodarstwa rolne. i można gdzieś do jakiejś pracy zaczepić. I przez Estonię możeby udało się dojechać do Szwecji. Ale najpierw chcieliśmy się szwarcować tu gdzieś między Polakami. Wsiadliśmy w pociąg i pojechaliśmy do Wilna. W Wilnie błądziliśmy bez celu. Nawet pamiętam taka wielka piękna rzeka szeroka: Wilenka. Takie piękne ławeczki tam stały. Usiedliśmy sobie. Tam też siedział ksiądz. Podszedłem do niego, powiedziałem "Pochwalony", a on mówi "ne suprantu". Podniósł się i odszedł ten ksiądz. Wiedziałem, że większość księży na Litwie zna Język polski. Potem chodziliśmy po mieście. Byliśmy na takim Wzgórzu Antokol. Gdyśmy tak siedzieli na tym Antokolu zauważono nas. To Wzgórze było bez domów, tylko tam wysoko widać było jakiś zamek, a tutaj to na trawie można było sobie siedzieć. Przyszło dwóch policjantów i poprosili nas o dokumenty. Powiedzieliśmy, że nie mamy dokumentów, bo uciekliśmy z niemieckich robót. Poprosili, żeby z nimi iść do aresztu. Kiedy przyszedliśmy do aresztu to tam już był jeden policjant, który dobrze mówił po polsku

W areszcie był już policjant, który dobrze mówił po Polsku, bo do polskiej szkoły chodził. Po Polsku pisał. Spisał nasze personalia i zakuli nas w kajdanki po dwóch. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, czterech było tych Litwinów, oni wyjęli z kabur pistolety i zarepetowali je i prowadzili nas do więzienia. Olbrzymie więzienie, na Łukiszkach(?) się to nazywało, tam spisali nasze personalia, założono nam akta. Zaprowadzili nas do celi, każdego do innej, tak że ja byłem z jakimś Polakiem. Nie wiem, za co go uwięzili, ale na pewno nie był to przestępca polityczny, bo wypuszczali go na dzień do jakiejś pracy. Ja zostawałem cały czas w celi. Poprosiłem tego Ryżę Żuretojasa, bo to tak się nazywał dozorca, czy nie mógłby mi dostarczyć jakichś książek. Ale polskich książek to nie, może Rosyjską. No, więc dostałem rosyjską książkę, ale nie umiałem czytać. Ale pamiętałem, że moje siostry chodziły do szkoły za cara i w ich książkach pisało: „dozwolono cenzuru” i takie tam. I te takie tam ja sobie zapamiętałem i jakoś kleciłem te zdania. W ten sposób nauczyłem się dość dobrze czytać po rosyjsku i rozumieć. Ale to trwało miesiąc czasu i stamtąd nas wywieźli do jakiegoś aresztu litewskiej policji. Byli tam jacyś przestępcy, około 20 ludzi. Była taka hala, gdzie to było, jaka ulica nie wiem, obok nas. To był posterunek litewskiej policji. Tych policjantów było dosyć sporo około 12 ~ 13. Wypłacano nam, to znaczy nie wypłacano, tylko pozwolono w ramach 20 centów, nie 50 centów tzn. 1 lita na zakup. Za te pieniądze można było kupić 1 bochenka chleba i można było kupić nie wiem ile, ale nie dużo smalcu. To był wrzesień, musiał być wrzesień, bo liście żółkły. Wrzesień roku 1940. Tam przesiedzieliśmy chyba lepiej jak miesiąc, bo już dużo wszy nabiłem. Gołe ławki były, tzn. nie ławki tylko taki jakby podest i jedna deska była trochę oparta na ten i nic tylko absolutnie w swoim ubraniu. A ponieważ w takim tłumie można było dużo wszy nabawić. Przeważnie byli Polacy ci którzy siedzieli. Nie byli to ludzie inteligentni, tylko prości. Przestępcy. Stamtąd wywieziono nas do Podbrodzia. W tym Podbrodziu to był las, duży las. Było kilka, nie kilkanaście to chyba nie, tych baraków w których mieszkało stacjonowało wojsko polskie. A w tym czasie kiedy nas przywieziono stacjonowało jeszcze wojsko litewskie i w jednym baraku, w środku tak, nas tam wpuszczono. W tym baraku było już sporo drobnych przestępców, takich mało wyrokowych. I może 50, może więcej Polaków, którzy uciekli z niemieckich robót. Byli również tacy, którzy wracając z wojny polsko-niemieckiej zostali przez Litwinów aresztowani i osadzeni w więzieniu. Po prostu wyciągnięci z domów, w których mieszkała ich rodzina. Przypominam sobie ich nazwiska np.: Kormann, Kochmann, Wojtczak albo Wojtusiak. Było dwóch Słudzkich, jeden Gros – Żyd się nazywał. No i było bardzo dużo tych, którzy puciekali z robót. To był Sitko Franciszek, Lubomski Adam, Krakowiak nie pamiętam imienia, Zmysłowski Stanisław z Warszawy i wielu, wielu innych. Pędzono nas do roboty nad jakieś jezioro gdzieś, nie przypominam dobrze, we wsi Podbrodziu chyba nie byliśmy. To było gdzieś w okolicy tak że nazywano to Podbrodzie. I tam byliśmy zatrudniani przy odwadnianiu jakiegoś jakichś bagien czy to

jeziorko było. Wykopaliśmy dół taki duży żeby woda mogła przepływać. Oczywiście była to praca po kolana w wodzie. Stamtąd przewieziono nas do Dimitrawy to było nad morze gdzieś w okolicach palarni. I tam, byłem w obozie oddalonym od jakiegokolwiek miejscowości oczywiście otoczony drutami. Byliśmy zakwaterowani i pracowaliśmy przy łupaniu kamieni. Duże olbrzymie kamienie trzeba było ściągać z pól i rozbijać. Klinem wybijać odpowiednie otwory, zakładać kliny, uważać żeby ładnie równo kamień przeciąć. Potem inni obrabiali to na drobne, niektórzy na kostkę. To było podzielone i tylko co 50 minut krzychał dozorca, „darbo” po 10 minutach, czy coś takiego. Na zakończenie „bajk darbo” i to takie, takie słowa słyszeliśmy od tych Litwinów. Na koniec późną jesienią przewieziono nas z powrotem w stronę Kowna i między Kownem, a Wilnem, to znaczy gdzieś 15 kilometrów od Kowna w stronę Wilna, tak jak idzie linia kolejowa. Była stacja Prawieniszki, a od tej stacji była wąskotorówka i wzdłuż tych torów wąskotorówki myśmy szli najpierw pośród podmokłych łąk, a potem przez las. Dużo więcej jak 2 kilometry i tam usytuowany był olbrzymi wyręb, na którym, z którego eksploatowano torf. Na takiej piaszczystej wydmy dalej był usytuowany barak dla więźniów otoczony drutami kolczastymi. Obok tego baraku w odległości gdzieś 50 m. był podobny, identyczny barak, gdzie zamieszkali dozorczy, z rodzinami, z dziećmi i żonami. Za tym ich barakiem, nie wiem ponieważ tam nie byłem, widać było że tam może są, może jakaś stajnia, może konie mieli, może kilka świń hodowali. Tutaj przy naszym baraku jeszcze był taki budynek gdzie była, piekarnia i gdzie była łaźnia, oczywiście taka zwykła, ze schodami wwyż i z laniem wody na kamienie. Przez całą zimę wywoziliśmy torf wagonami wąskotorówki. Zresztą nas było tam sporo osób także podzielone było na warty, jedni musieli tory czyścić, żeby wszystko było w porządku, drudzy chodzić w las wyrąbywać olchy, ponieważ tam olszyn b. dużo było na. Tam na tych terenach podmokłych najwięcej olchy rosły, ponieważ miały korzenie na wierzchu można było tylko podciąć korzenie przyczepić linę i przewrócić, ciągnąć to żeby przygotować nowy teren pod torfowisko. A tak to ich załadunkiem na stacji kolejowej tego torfu nie wiem gdzie oni wieźli, potrzebowali chyba do Kowna czy do Wilna, żeby centralnym ogrzewaniem palić. Z chwilą nastania wiosny zaczęliśmy wykopywać torf. Wykopywanie torfu odbywało się w ten sposób, że z jednego miejsca już wydobytego torfu ustawiona była lokomobila, a z drugiej strony druga. To było mniej więcej pole kwadratu km na km to całe torfowisko. Były rozciągnięte liny do samego lasu z jednej strony i liny z drugiej strony tak że lewar był opuszczony na torfowisko. Tak że 14 osób kopało torf dużymi łopatomy i kładło na lewar. Lewar to nosił do lokomobili. Lokomobila to ugniała i jednocześnie przeciągała liny. Dwie liny były na stojakach, aż w końcu stojak był przyczepiony do drzew, lasu. Tak, że dziesięciu ludzi było rozstawionych przy tych linach trzeba było co dziesiątą, znaczy ten pierwszy musiał sobie liczyć jeszcze, deskę dł. metra ściągnąć z tych dwu lin odbiec odpowiednią trasę i wziąć wyrzucić to i z powrotem biec. To

trzeba było bardzo szybko, bo nie zdążyłby i położyć pod spodem, bo jak szły liny górne w stronę lasu to dolne szły z powrotem. W stronę tej maszyny parowej. Oczywiście ona opalana była torfem. Trzeba było zrobić, od godz. 2 w nocy do godz. 2 po południu, to była zmiana, 10,000 sztuk torfu. Jeżeli by ktoś nie wykonał takiej pracy, oczywiście od 2 w południe byłą druga zmiana, to cała zmiana była karana, pozbawiona kolacji czy śniadania. Mieliśmy dwa rodzaje ubrań, więziennych oczywiście, drelichów. Jedne były do pracy, drugie świąteczne. Pewnego razu po pracy, po nocnej pracy, a przed popołudniową pracą. Kiedy już przespałem się grałem z chłopcami w szachy na sali, i na salę tę wszedł komisarz. Przyszedł na kontrolę. Ja siedziałem tyłem do drzwi wejściowych. Ale to taki niski człowiek lat ok. 50 jak wszedł to od razu stanął koło mnie i powiedział „Tobie siem sutok, a tiebie piac sutok, A tiebie tri sutki” – powiedział moim kolegom. A za nim wszedł dozorca. Ja mówię „Za szto graszdanin, za szto tawariszcz kamisar”. A on mówi „Za to szto uwidial kamisara i nie skazal smirno (baczność)”. Znaczy ja powinienem powiedziec „powstań, baczność, i zameldować się. A potem zebrali się inni chłopcy. Nie spodziewałem się usłyszeć od niego takich wulgarnych słów, ponieważ nie byłem przyzwyczajony do tego aby młody człowiek mógł u starego człowieka usłyszeć takie wulgarne słowa, jakimi on do nas się zwracał. Królikowski z Płocka mówił „No horoszo towariszcz”, a on mówi „Kakoj ja tiebie towariszcz? Razwie ja z tobój kuricy worował (Jaki ja tobie towarzysz? Czy ja z tobą kury kradłem?). On myślał, że to jakiś złodziejaszek. Potem już zamilkł. Chłopcy mówili: „Piszczja plochaja, rabota tiezelaja”. A on na to: „Sała by chotieli?”. A my na to: „Przydałoby się”. „Ot tiebia takoj” i pokazał na rękę wulgarnie. „A co najelbysi, zalożyłhv ruki w bruki i rabotać nie chotielby.”

— „Kolez, bo już miejsca i raboty”.

Z chwilą rozpoczęcia wojny sowiecko-niemieckiej Litwini nas nie puścili do żadnej pracy. W baraku nie zamknęli i mogliśmy nawet na dworze siedzieć. Ale w granicach obozu. Zmniejszyli nam porcje chleba o połowę. Wzięli Niemców którzy z nami byli. Dali im ubranie i uzbrojenie i oni razem z nimi nas pilnowali. Ci którzy przedtem siedzieli, więźniowie. Wierszynikas, czyli naczelnik tego obozu, Komar się nazywał. On zawsze chodził sobie w las głęboko i wziął karabin i jego nie było w tym czasie chyba 3 czy 4 dni. Dopóki tak w godz. 1 czy 2 popołudniu. Nie wiem czy to był 24, -5, czy -6 ale najprawdopodobniej 25 w południe. Ja stałem w oknie od strony wschodniej, znaczy w naszej patrołce, i widzę, że Litwin, który stał za drutami rzuca karabin i ucieka w las. Za nim słyszę strzały. A Litwini byli już wtedy ubrani w mundury sowieckie. Już mieli okrągłe czapki z gwiazdeczkami. Tak jak żołnierze rosyjscy. I żołnierze rosyjscy okrążają nas i strzelają do naszych okien do nas. Odsunęliśmy się dalej od okien. Żeby nie przebiły ścian, bo ściany były bardzo cienkie. I mogliby kogoś kulami trafić. To niektórzy położyli się na podłodze. I oni przestali strzelać, a tylko okrążyli. I kazali nam wychodzić. I słyszymy

wulgarnie rosyjskie słowa. Niektórzy wzięli ze sobą koce, niektórzy jakieś płaszcze. Słyszemy najpierw „Brasaj wsio czto imiejesz. Ruki w wierch.” Królikowski mówi: „Słuchaj, a może nie wyjść”, a ja „A co jakby spalili ten barak odchodząc?” Nie zdawałem sobie sprawy, że jakby spalili ten barak to spalili by siebie. No bo nie wyszliby z lasu, jelenie podchodziły, sarny podchodziły do nas pod druty zimą, a zaraz za drutami był wysoki las. A trzeba było nie wyjść. Gdyśmy wszyscy wyszli. Oni kazali „ruki w wierch”. Kto miał jakie papiery czy coś to mu zabrali. I odsuwali nas w stronę środka. Nasz barak miał tak, można jego budowa w kształcie dużej litery „i”. Od strony północnej było główne wejście. Na środku, od strony wschodniej były drzwi gdzie była kuchnia. Tu od strony wschodniej i zach. były 2 takie jakby wypusty, coś w rodzaju werandy. Od strony półn były drzwi i korytarz, po obu stronach korytarza były cele. Między tymi werandami skupiło się najwięcej osób. Taki Wyrwa Kazik z Łodzi zapytał: „Co z nami dziejecie?”. Odpowiedział: „Nie biespokojisia. Kuda pojedziesz, budziet tiebia horoszo”. Tak sobie pomyślałem – on był młodszy ode mnie miał może 16 lat. Patrząc, a oni wyprowadzają dozorców ośmiu, a może dziesięciu, których zastali tam w baraku. W stronę półn. zach. tam była taka jakby dróżka do stacji. Z tych maszynowych karabinów ręcznych postrzelali do nich, podszli bliżej postrzelali jeszcze gdy leżeli. Za chwilę patrząc, a oni prowadzą te wszystkie kobiety. Żony tych dozorców i więźniarki, które były. One pracowały w pralni. Poprowadził nas w kartofle, były vis a vis naszego baraku. Były już wyrosnięte. Kobiety szły, a oni po nich także strzelali. I widzę, że prowadzi jeszcze jednego Litwina trzymając mu pistolet nad głową. Strzelił mu w głowę 1 raz. Ten zapisał. Potem wystawili 3 karabiny maszynowe. Ja w tym czasie odsunąłem się od wszystkich i chciałem wrócić do patki, a w tym czasie oddali oni strzały. Czterech czy pięciu żołnierzy strzeliło do mnie z karabinów ręcznych. Ja się w tym czasie przewróciłem. Jedną rękę podkurczyłem, jedną rękę wyciągnąłem i tak leżałem. I w tym czasie oni zaczęli strzelać do wszystkich. Bardzo długo to trwało. W tym czasie bardzo żarliwie modliłem się. Żał mi było, że to już koniec, że się nigdy nie zobaczę z rodzicami. Modliłem się żeby Niemcy jak najszybciej przyszedli. Od samego rana słyszeliśmy strzały z karabinów maszynowych na stacji, a więc 2 kilometry od nas byli Niemcy. Można było rozpoznać strzały karabinów rosyjskich i niemieckich. Niemieckie to były bardzo szybko ładowane przez automat. Po długim czasie strzelania do nas bezbronych. Rosjanie zaczęli szeptać między sobą, że nie mają amunicji, a ponieważ wszyscy więźniowie już leżeli, otworzyli drzwi i powiedzieli żeby żywi się podnieśli. Ryk straszny odezwał się potem, pewnie przebił kogoś bagnietem. Nie do opisania co się działo, dobijali ludzi. Doszli do mnie gdzie leżałem i dwa metry leżącego koło mnie Koffmana. On powiedział: „Co robicie towarzysze ja jestem Ukraińcem, mój brat w czerwonej armii,„. Strzelili mu w głowę. Słyszałem wypływającą krew. Staszek Wisłocki tam dalej się podniósł i mówi: „Towarzyszu ja jeszcze żyję”. Strzelił do niego, a ten mówi, że nie trafił i że nie umie strzelać. Chyba pięć czy sześć razy musiał do niego strzelać zanim zabił. Nareszcie, czy zobaczyli jakąś czujkę niemiecką, czy coś zebrali się od razu. Uciekli drogą na półn. pomiędzy

1) Młody Europej z Warszawy z 18 lat

⊗ Okropne rzeczy co się działo

barakiem jednym a drugim. Zostawili jednego żołnierza, takiego, co nas pilnował, żeby jak kto się podniesie, to żeby strzelał. No i oczywiście on stał na środku tak. Z przeciwnej strony poderwał się jakiś człowiek On za nim pobiegł strzelając. Wtedy ja się podniosłem, a ze mną chyba z pięcioro się podniosło. Pobiegliśmy dookoła do kuchni ~~dookoła~~, żeby wziąć siekierę, przeciąć druty i pobiec do lasu.² A jeszcze Edward Wiśniewski Przepraszam Edward Cichocki z Łodzi wygrzebał się z pod drewek. Drewekami się przykrył w kuchni, ponieważ on w kuchni pracował. Tak we trzech we czterech nas Szibelfenig Olek miał całe spodnie zakrwawione od krwi swego brata Tadeusza, potem Korman, ja i ten Cichocki Edek, a Litwinów trzech, ale nie znałem ich nazwisk. Ci na Litwie nie kontaktowali się z nami. Wzięliśmy siekierę, przecięliśmy druty i uciekliśmy w głąb lasu. Bardzo szybko uciekliśmy pozostawiając nawet tę siekierę przy drzewie. Uciekaliśmy w takim, jakimś szoku. Ja nie wiem jak się człowiek wtedy czuł. Ja nie byłem sobą. Ja uciekałem. Żeby jak najdalej od tego miejsca Po pewnym czasie stanęliśmy. Gdzie mamy iść? W którą stronę? Przecież tam można iść w takie miejsce, że nie wyjdzie się z lasu. Są bagna, w które można wpaść i nie wyjść, a utopić. Las był taki naturalny, ani dróg, ani niczego. Stanęliśmy, a ci Litwini mówią do siebie.....

.....
Z Polakami nie będziemy szli. I zabrali się. Jeszcze ten jeden Litwin był ranny. Miał oczy zapuchnięte i musiało go bardzo boleć. Błądziliśmy po lesie, gdzie zastała nas noc. Wszędzie było mnóstwo porozrzucanej sowieckiej broni, karabinów maszynowych, później amunicji pełno było. Wyszliśmy z lasu, w lesie były okopy, a w tych okopach pełno ludzi. Ci mieszkańcy rozmawiali po rosyjsku. To byli Rosjanie. Ci burłacy. Ci burłacy mieszkali w środkowej Litwie, tak jak mieszkają na Wileńszczyźnie. Położyliśmy się z daleka od nich i całą noc artyleria ~~rosyjska~~ ^{niemiecka} strzelała do nas. Ale nikogo ~~rosyjskiego~~ tam nie było. Dopiero na rano widzieliśmy, że Niemcy zorientowali się, że tam nikogo nie było. Puścili potem flary. Wtedy wyszliśmy na s osę i Niemcy nas aresztowali i posadzili nas w IX forcie, tam, gdzie trzymano Rosjan. Potem nas czterech wsadzili do takiej ciemnej kajuty. Tam przesiedzieliśmy dwa, albo trzy dni zamknięci, a natrzeci dzień przyszedł niemiecki żołnierz i przyniósł nam na pokrywcę menażki krupniku i łyżkę, albo dwie łyżki, czy każdemu p o łyżce - nie pamiętam. Rosjanie jeńcy byli na dworze, a my chociaż pod dachem. Później przewieziono nas w Kownie. I tak siedziałem w więzieniu aż przyszedł wyrok niemiecki skazujący mnie za przekroczenie granicy na dwa lata ciężkiej pracy. Ale po roku czasu mnie wypuszczono, z zaliczeniem tego, co siedziałem Imiona rodziców: Ignacy i Marianna z domu Gapińska. Po raz pierwszy byłem aresztowany przez sowietów w początkach czerwca 1940r.

Adres 09-402 Płock ul. Kochaneowskiego 1/1 m.10 tel 262-80-97